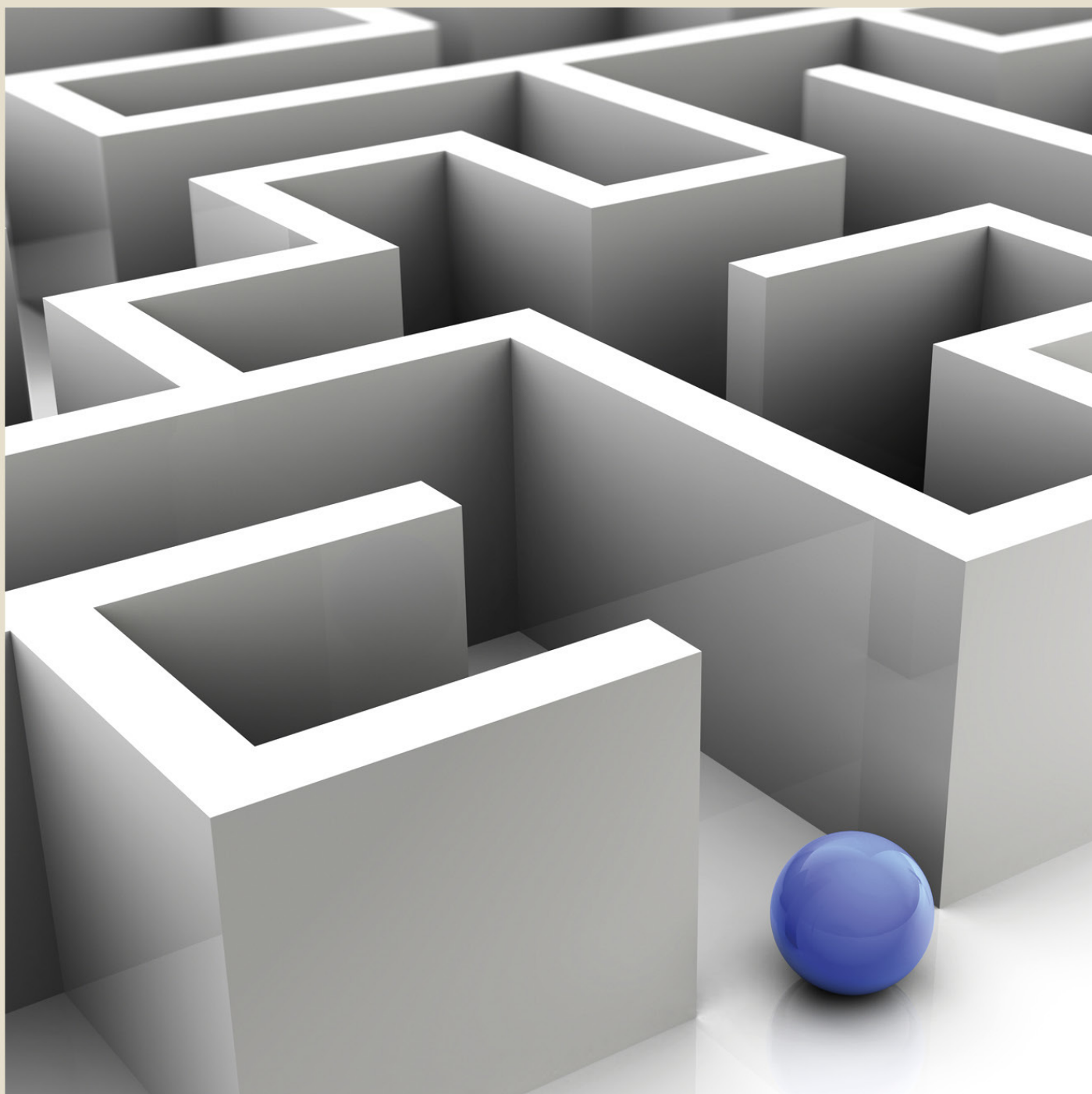


ZBIGNIEW KUBIKOWSKI



**GRA W
CHOWANEGO**

Zbigniew Kubikowski
GRA W CHOWANEGO

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-42-5

Copyright © Spadkobiercy autora

Tekst: Czytelnik, Warszawa 1978

Projekt okładki: Marcin Labus

CZEŚĆ I

1

A zatem wszystko jest możliwe. I marzenia – być może – realizują się parami. Nawet sny czasem się sprawdzają. Oczywiście nie dosłownie, nigdy rzeczywistość nie dorasta do oczekiwań, do żądań, jakie się stawia splotowi przypadków decydujących o naszym życiu. Więc jeśli któreś zostanie w jakiś sposób, w jakiejś formie i w jakimś stopniu spełnione, należy zdjąć kapelusz i nisko pokłonić się... właśnie w tym rzecz, że nie wiadomo komu.

W takiej chwili mówił, że wszystko zawdzięcza sobie.

Zapominał sny, zresztą rzadko je miewał. Ktoś mu kiedyś powiedział, że to świadczy o ubóstwie wyobraźni. Możliwe. Jednak ten sen pamiętał. Ten sen wracał. Śniło mu się miasto. Było ciemną przestrzenią zabudowaną ulotnymi kształtami, mrugającą mnóstwem świateł. Te światła nie sumowały się, nie wypełniały ulic jednolitym blaskiem, tylko inkrustowały mrok, matowe, przyćmione, nieosiągalne. W czarnych wąwozach przecinających się pod nieprawdopodobnymi kątami, biegnących w najmniej oczekiwanych kierunkach, poprzez światła i zarysy budynków rósł huk, łoskot, brzęk, ale nie było w nim nic przerażającego; to brzmiało jak muzyka wypełniająca miasto po szczyty domów i wszystko, cały sen, stawał się wyczekiwaniem chwili, w której można będzie wejść w żywą, pulsującą ciemność.

Wiedział, że jest w hotelu, że zostawił rzeczy, za chwilę znajdzie się na ulicy. Budził się w środku nocy podniecony, prawie szczęśliwy.

Aha, wiedział także, że to miasto to Paryż. Właściwie nie wiadomo dlaczego. Kiedy czytał książki, oglądał filmy, ciekawszy, bardziej egzotyczny wydawał mu się Londyn, Nowy Jork, Rzym i Tokio. Ale tamto miasto to był Paryż i śnił mu się tylko Paryż, a właściwie coś, co nosiło taką nazwę i nie miało wiele wspólnego z Paryżem z lektur i fotografii.

Sprawdzi się więc ten sen, czy nie sprawdzi? Jeżeli się sprawdzi, sprawdzamy resztę. Wszystko, co jeszcze się nie udało, co poszło niewłaściwą drogą, zawrócimy, powtórzymy, naprawimy i nie damy nikomu popsuć.

Samolot wychodził z chmur, piękna, plastyczna mapa Kolonii, widać małą bryłkę katedry, połyskują lusterka wody, dachy, niteczki szyn. Potem Akwizgran, Bruksela w ciepłym, jesiennym słońcu, i tak nie zapamiętam szczegółów, powtarzał sobie, tylko szare wypukłości ze złotymi iskierkami, spękaną, chropawą powierzchnię, w której jedynie regularność kształtów, celowość linii każe się doszukiwać działania człowieka. Czerwony napis nad drzwiami kabiny pilotów, łąki, drzewa, druty telegraficzne, beton pod kołami. Więc to już. Le Bourget. Pięć po drugiej po południu. Dwudziesty trzeci październik.

Wszystko to dekoracje, kostiumy. Czerwone stewardessy, policjanci w czarnych pelerynkach, ciepło, bardzo ciepło i jasno. Dwie ciężkie walizy i ten przekłety płaszcz; Murzyn w grubej jesionce uśmiecha się porozumiewawczo, jemu też jest zimno. Autobus, trzy i pół franka; więc jest tu tylko na pół serio, jeszcze nie było oficjalnego otwarcia, zanim ono nastąpi, trzeba zostawić wszystko, co z sobą, zamieszkać, potem dopiero wyjść na ulicę. Miasto nie może odsłaniać się powoli, jak teraz, za szybą autobusu, to tak, jakby zdradzało swoją tajemnicę, sposób, w jaki istnieje; ono musi zjawić się nagle, wybuchnąć, powinna podnieść się kurtyna i wtedy oklaski, orkiestra tusz, brawo scenograf, pan Hausmann na scenę, owacja, przedstawienie może się zacząć. A zatem, póki wprowadzają go tylnym wejściem, przez kulisy, pomiędzy odrapanymi ścianami, po których wiją się czarne kable, poprzez zwisające sznury, mroczne przejścia i korytarzyki – ma prawo uznać, że nic się jeszcze nie zaczęło. Przyjechał na przedstawienie, nie po lekcję anatomii teatru.

Zostawił walizy i płaszcz w podziemiach dworca lotniczego przy Invalides, w hali na parterze wypalił jeszcze papierosa, aby ochłoniąć i wejść w dobrej formie na widownię. Potem wędrował ulicami z planem w ręce, w stronę bulwaru Raspail, i nie opuszczało go wrażenie sztuczności, umowności, a równocześnie swojskości; dziwiło go tylko, że wszyscy dokoła mówią po francusku, a u dołu widoczku nie zjawiają się polskie napisy.

Uczucie nierealności nie opuszczało go, gdy przechodził koło pałacu premiera, patrzył na budy policyjne, na ludzi poruszających się leniwie w łagodnym ciepłe popołudnia, a kiedy z niezbyt ruchliwych ulic wyszedł na bulwar Raspail, to samo uczucie wyłączyło go jakby z tłumu, z huku, umieściło w niewidzialnej bańce poruszającej się razem z nim, przed szybą przykrywającą ekran, dzięki czemu obraz i dźwięk były wprawdzie bliskie, ale odnosiły się przecież do rzeczy dziejących się bardzo daleko.

W Centre d'Accueil otrzymał plik prospektów, informatorów i ulotek, skierowanie do hotelu i do kasy. Niewiasta w okularach siedząca za ladą mówiła bardzo powoli i dobitnie, przyzwyczajona do tego, że mało kto ją rozumie; słycać było stukot maszyn do pisania i do liczenia, na ścianach wisiały barwne plakaty, młodzi ludzie o różnych kolorach skóry popatrywali na siebie bezradnie, za stolikiem przy drzwiach siedziała dziewczyna z długimi włosami; uśmiechnął się do niej wychodząc.

Usiadł na ławce, przestudiował plan. Owoce ze sklepów wylewają się na chodnik. Kupił kilo pomarańcz, wrócił na ławkę, obierał je palcami, jadł, patrzył na widoczek. Było mu nie najgorzej.

I znowu wędrował ulicami. Przeszedł nie rozglądając się specjalnie przez bulwar St.-Michel. Rzucił tylko okiem na żelazną bramę ogrodu Luksemburskiego. Na krótkiej, cichej uliczce Feuillantines, w hotelu, do którego miał skierowanie, nie było wolnych miejsc. Dostał pokój w hoteliku obok. Taksówka, film za szybami samochodu przekręca się szybciej niż wtedy, gdy szedł piechotą, ale nadal jest tylko filmem. Znowu dworzec lotniczy na Invalides, walizki, płaszcz, jazda z powrotem. Feuillantines. Rozpakował się, przebrał, opłukał twarz w umywalce, usiadł w wytartym foteliku pod oknem. Patrzył na ścianę obitą zielonobeżową tapetą, podniecony, napięty. Zapalił papierosa i pomyślał: „Teraz dopiero tu przyjechałem”.

Więc jest prawie tak jak we śnie.

Wypali spokojnie papierosa. – I wyjdzie.

Będzie przed nim Miasto.

A także całe życie, nie tylko ta część, którą ma jeszcze przed sobą, ale całe, od początku, bo przyszłość zmieni sens przeszłości, przestawi akcenty, to, na co trzeba było lat, pozbawi znaczenia, temu, co pojawiała się i nikło gdzieś na marginesie, nada rangę zapowiedzi, przeczucia właściwego, prawdziwego i już ostatecznego wyboru. Studia ekonomiczne, asystentura, publikacje w fachowych czasopismach, to, czemu zawdzięczał stypendium i co było treścią działań do chwili, w której wsiadł do samolotu – może okazać się zaledwie komicznym szczegółem biografii, anegdotką, londonowskim akcentem w życiorysie niezbyt jeszcze bogatym, bo nie zdążył być marynarzem, poszukiwaczem złota, robotnikiem ani cyrkowcem. Utrzymywał zawsze chłodny dystans do roli młodego uczonego, jaką przyszło mu pełnić, dystans przeradzający się niekiedy w skryte zniecierpliwienie. Im gorzej jednak odnosił się do przedmiotu swych oficjalnych zainteresowań, tym większe miał sukcesy. Publikacje, których myślową nonszalancję maskował precyzją stylu, zyskały opinię odkrywczych. Referaty na sympozjach, wygłaszane tylko po to, aby dokuczyć autorytetom, sprawiły, że właśnie mistrzowie zaczęli traktować młodego asystenta jak partnera. Pracę doktorską miał gotową, kiedy otrzymał stypendium; przyleciał więc do Paryża właściwie już tylko po to, aby pobyć przez dwa miesiące poza wszystkim, co zmuszało go do grania ról nie lubianych, wśród nieciekawych sytuacji i ludzi, za którymi nie przepadał. W mieście, które mu się śniło od wielu lat. Może właśnie tutaj zacznie robić coś, na co naprawdę ma ochotę?

Pierwszy reportaż napisał na studiach i nic z tego nie wyszło. Studencki tygodnik odesłał mu tekst z litanią głupich uwag, które on sam sformułowałby pewnie lepiej, gdyby role się odwróciły. Debiutował tekstem publicystycznym, do reportażu powrócił dopiero po studiach. Wydrukował w popularnym magazynie reportaż o jeziorach mazurskich z własnymi fotografiami. Po raz pierwszy poczuł smak prawdziwego sukcesu, choć na reportaż nikt nie zwrócił uwagi, a gorączkowe oczekiwanie na spontaniczną reakcję osłupiałej ludzkości zmieniło się wkrótce w pełne pobłażliwości rozbawienie – nie sobą jednak się bawił, ale swymi kolegami, zwierzchnikami, znajomymi, którzy dyskutowali zawzięcie nad każdym jego artykułem zamieszczonym w kwartalniku o nakładzie pięciuset egzemplarzy, a kiedy zrobił coś naprawdę fajnego, nawet tego nie zauważyli. I tak już zostało: od czasu do czasu drukował jakieś teksty w magazynach i tygodnikach i fakt ten w końcu dotarł do świadomości jego otoczenia, nie wywołał jednak wstrząsu. Uważano to za hobby, może trochę nie licujące z powagą pracownika wyższej uczelni, ale w końcu tak długo nieszkodliwe, dopóki nie przeszkadza właściwemu biegowi naukowej kariery. Należące zresztą do rzędu rozwojowych anomalii, które przechodzą z wiekiem.

A dla niego było to najważniejsze. Nie przyznawał się nikomu, czasem nawet sobie, że wcale nie uważa swojej drogi życiowej za raz na zawsze ustaloną. Doktorat, habilitacja, profesura, godności akademickie, seminaria, wykłady, egzaminy, karuzela papieru, formuł coraz bardziej sztywnych, konwencji coraz dokładniej pętających ruchy, układów i zależności, których nie sposób uniknąć, aż ugrzęźnięcie się w nich jak mucha w pajęczynie; jego rozprawy, książki, teoryjki będą jak knebel, jak zamek w bramie, jeżeli tylko zechce powiedzieć, pomyśleć nawet coś, co nie będzie z nimi w zgodzie, jeżeli zechce wyjść na chwilę albo na zawsze z labiryntu, po którym biega jak mrówka, i odetchnąć świeżym powietrzem, poczuć wiatr na czole i doświadczyć czegoś, czego jeszcze nie zna, a co może okazać się najważniejsze. Nikt nie ma prawa wybierać mu biografii. Nikt. Starał się na wydział dziennikarski i nie dlatego się nie dostał, że zabrakło mu wiedzy lub zdolności. Więc jeśli nie on dokonał wyboru, nie ma żadnych zobowiązań wobec siebie ani wobec innych. Asystentura, stypendium jest tylko wehikułem, który wiezie go w nieznanym kierunku i z którego wysiądzie, gdy tylko nadarzy się po temu okazja. Może za rok, za trzy.

Może teraz?

2

Abisyńczyk w recepcji, mały, uśmiechnięty, przyjął klucz. „Un petit tour?” – spytał, pomachał ręką i pochylił się nad rozłożonym na biurku podręcznikiem.

Więc to już.

Wyszedł, stanął na chodniku.

No to proszę: tusz orkiestry. Kurtyna w górę.

Scenę zamyka żółta ściana niskiego gmachu z pociemniałą tablicą na wysokości oczu. Przepchał się między samochodami, przeczytał napis: „W tym domu urodził się Victor Hugo...” Pokiwał głową z uznaniem. Scenograf zadbał o należyłą oprawę pierwszego obrazu.

Rozejrzał się. Krótka, zaciszna uliczka. Samochody przy krawężnikach, słońce na szczytach kamienic. Tak wyglądały dawno zapomniane ulice w mieście dzieciństwa, teraz dalekim i obcym. Szczytowe ściany bogatych kamienic zwartym murem wyznaczają i zamykają perspektywę. Są jasne, żółte, kremowe. Nie ma między nimi luk, niechlujnych placyków z kubłami na śmieci, spłaszczonych, paropiętrowych plomb, rozwalonych chodników. Blask w witrynach wystaw. Zasłonięte żaluzje. Ciepło.

Nie wolno się spieszyć. Trzeba smakować czas.

Ruszył przed siebie, zatrzymał się u zbiegu ulic, wyjął plan. W lewo skosem ucieka ku bulwarowi Saint-Michel ulica Gay Lussac. Gay Lussac? Skądś to zna. Ze szkoły. W prawo, w dół, spływa ulica Claude Bernard. To nazwisko niczego mu nie przypomina. Wąska uliczka na wprost? Rue d'Ulm. Poczta na jednym rogu – stąd będzie wysyłał listy i kartki – bistro na drugim. Tu za chwilę czegoś się napije. Kupi przedtem gazetę najbardziej różniącą się od tych, które dotąd czytywał.

Już siedzi przy małym stoliku, w rogu ciemnej salki, lśni kontuar w głębi, błyska światłami automat do gry ustawiony blisko drzwi, pustawo. „Monsieur?” Mała kobieta w białym fartuszk. Co powiedzieć? „Une bière” – tylko to mu przyszło na myśl, chociaż wcale nie chciał piwa. „Une czy un?” – rozważał jeszcze przez chwilę, po czym rozłożył gazetę.

Szelest wielkiej płachty, zapach farby drukarskiej. Olbrzymie, czarne litery. Przez chwilę nie czytał – oglądał. Schodki tytułów. Pierwszy stopień – szkielet informacji. Drugi, mniejszą czcionką – jej dopełnienie. Trzeci – jeszcze mniejszy – to najważniejsze cechy wydarzenia. I wreszcie tekst – dla tych, którzy zapadają po obiedzie w miękkie fotele i mają czas. Cztery poziomy informacji, do wyboru. Wybierze pierwszy, bo nie ma czasu. A raczej ma go – ale dla siebie. Nie dla wydarzeń dotyczących innych, wydarzeń ważnych i nieważnych, ale zawsze mierzonych w innej skali, skali tych ludzi, tego miasta, tego kawałka świata, a dla niego będących tylko tytułami na pierwszych stronach gazet, a więc fragmentem tła, dekoracją, jak reklamy na dachach, jak afisze, plakaty wyborcze i wystawy. Więc damy szansę tylko największym literom, bo są znaczącym elementem scenografii – reszta to tylko plamy, światła i cienie.

Największe litery: „Czy wojna wybuchnie pojutrze?” Jakaż to wojna? I dlaczego akurat pojutrze? Szczęknął kufel o stolik, piwo jest znakomite, zimne. A więc, czy wojna wybuchnie pojutrze? Zdolność przewidywania budząca podziw. Jakby nikt jeszcze w tym stuleciu nie dowiedział się o wybuchu wojny z eksplozji bomb, które o świecie wyrwały go ze snu. Prawda, przecie nie tu, w tym mieście. Tu wciąż jeszcze wypowiadano wojny. Wypowiadano. Jak słowa. A więc pojutrze?

W każdym razie zdąży jeszcze odebrać stypendium. „Prezydent Kennedy zarządził...” Z kim więc ta wojna? Z Panamą? „Khrouchtchev...” Bawiła go kiedyś rosyjska pisownia zachodnich nazwisk. Pomyślał, że jednak obie strony mają z tym kłopoty. Nie należy zatem oddzielać śmieszności od punktu widzenia. Więc kto to taki – Khrouchtchev? Chruszczow?

I nagle wszystko przestało być zabawne.

Niknie piana na nie ruszonym piwie. Wzrok osuwa się na niższe szczeble tytułów. „Les cargots soviétiques” płynące w stronę Kuby wkrótce wejdą w strefę kontrolowaną przez okręty amerykańskie. Czy prezydent Kennedy podejmie decyzję zbombardowania wyrzutni rakietowych na Kubie? „Poleciłem siłom zbrojnym przygotować się na każdą ewentualność – powiedział Kennedy – myślę, że w interesie zarówno Kubańczyków, jak i techników radzieckich w okolicach wyrzutni ryzyko łączące się z dalszą niebezpieczną ich rozbudową zostanie zrozumiane”. Czy okręty amerykańskie zatrzymają transportowce? Jak zareagują Rosjanie? Kto zareaguje pierwszy?

Wypił piwo, zapłacił, wyszedł. Poczul lekki zawrót głowy i uświadomił sobie, że niemal nic nie jadł od rana. Kupił inną gazetę, przeczytał tytuły. Potem, na rogu St.-Michel, jeszcze jedną. Stał na rogu chodnika. Czytał. „Nie będziemy przedwcześnie lub niepotrzebnie ryzykować kosztów wojny nuklearnej o światowym zasięgu, w której nawet owoce zwycięstwa mogą mieć smak popiołu. Lecz nigdy również nie cofniemy się przed takim ryzykiem, gdy trzeba mu będzie stawić czoła”.

Uniósł głowę, spojrzal w jasne, blade, jesienne niebo, jakby rosły już na nim plamy zbliżających się rakiet. Potem dopiero przyjrzał się ulicy.

QUALITÉ + PRIX + STYLE = PRISUNIC, GRANDE VENTE PUBLICITAIRE DE MANTEAUX, HATEZ-VOUS! TÉLÉGRAMME EXPRESS GALERIE d'ORLÉANS

VENTES SURPRISE AVEC RABAIS DE 10% A 40%! Pełne chodniki, puste sklepy, obok wysoki chłopiec całuje dziewczynę, żółty liść zatrzymał się na jej włosach, dwaj starsi panowie pogadują leniwie nad filiżaneczkami kawy przy białym stoliku pod kolorową markizą, młoda kobieta pcha wózek z dzieckiem, rytm tłumu jest spokojny, leniwy, przedwieczne słońce błyska złotawo w szybach. Dlaczego nie stają w kolejce po cukier? Dlaczego nie tłoczą się w sklepach? Dlaczego nie czytają pierwszych stron gazet, nie gromadzą się na rogach, nie wymachują rękami? Może ich to po prostu nie obchodzi? „Owoce zwycięstwa mogą mieć smak popiołu”. Czysta poezja. LIBRAIRIE GÉNÉRALE. Piramidki błyszczących lakierem okładek na smukłych stojakach przed wejściem. PAPETERIE SERVICE. FLEURS. UN CAFÉ? UN EXPRESS CONTI. BOULANGERIE MODERNE. PROTO. Nie ma w ogóle z kim gadać. Ci ludzie są jak dzieci.

Kiedy to się stało? Ostatnie dni upłynęły mu na gorączkowych przygotowaniach do wyjazdu, formalnościach, wizytach, gromadzeniu wskazówek, adresów, dobrych rad, ostrzeżeń i poleceń. Na pakowaniu rzeczy, a raczej na wyrzucaniu z walizek tego, co w tajemnicy przed nim upchnęła w nich matka. Na odwiedzaniu znajomych, załatwianiu formalności, kompletowaniu garderoby. Kiedy kupował skarpetki, głowice potężnych rakiet unosiły się ku górze celując w bliskie niebo. Kiedy kłócił się z matką o ciepłe kalesony, olbrzymie odrzutowe samoloty z bombami wodorowymi na pokładzie startowały na kolejny patrol, który w każdej chwili mógł się przemienić w bojowy lot ku z góry określonym celom. Gazety donosiły o wykonaniu planu przez polskie cementownie.

Francuzi, rozumiecie? Coś się stało!!

Spod blaszanego cylindra pisuaru wyglądały nogi siusiających mężczyzn. Patrzył na nie przez chwilę, a kiedy zwolniło się miejsce, wszedł także.

I tam, między dwiema ściankami z szarej, pokrytej rdzawymi zaciekami blachy, zrozumiał nagle, że wcale się nie boi. Strach rodzi się z bezruchu, z niewiedzy, więc gdzie tu miejsce na strach? W słońcu ciepłego, październikowego dnia przybysz ze wschodu przeleciał nad połową Europy, patrzył z góry na miasta, rzeki, autostrady, świat skurczył mu się i zbliżył, wypełnił oswojonymi ludźmi – gotów więc był zawierzyć temu, co widział. Ulica paryska zapewne ma rację. Trzeba ją tylko sprawdzić, skoro stoi się na tej ulicy po raz pierwszy.

Ambasada! – pomyślał. Chciał zgłosić się tam nazajutrz, ale czyż można czekać tak długo, jeśli owoce zwycięstwa mogą mieć smak popiołu? Paryż byłby pewnie jednym z piękniejszych owoców, nie można go jednak zająć od środka. Wszedł, wyjął z kieszeni plan. Rue Talleyrand znajduje się niedaleko dworca lotniczego przy Invalides. Czeką go więc znowu ta sama trasa, po raz czwarty już tego popołudnia i po raz czwarty przemierzana jakby nieoficjalnie; ledwie rozpoczął się spektakl, znowu opadła kurtyna i wszystko trzeba zaczynać od początku.

Nie myślał jednak podczas drogi o przerwaniu spektaklu. Rozważał swoją sytuację. W razie wybuchu konfliktu musiałby być internowany. Internowany czy aresztowany? Osadzony w pensjonacie na Lazurym Wybrzeżu czy w kazamatkach La Santé? A może wcielony siłą do Legii Cudzoziemskiej i wysłany między diuny, lwy i Arabki? Dokąd, skoro Francja nie prowadzi już wojny w Afryce? Po namyśle wybrał więc pierwszą ewentualność, a ponieważ nie była to decyzja łatwa, podjął ją wtedy dopiero, kiedy stanął na rogu cichej, pustej, załamanej pod kątem prostym ku bulwarowi Invalides uliczki Talleyranda.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI